

„TURNIEJ JEDNEGO WIERSZA”



OLGIERT ŁOTOCZKO
— laureat I nagrody Turnieju

Otwarcie kopert z nazwiskami autorów i ogłoszenie wyników turnieju nastąpiło w dniu 18 czerwca br. podczas „Nocy Jazzu i Poezji” w Domu Kultury WSK w Rzeszowie o godzinie 22.

Po skonfrontowaniu nazwisk autorów z godłami okazało się, że laureatem I nagrody został **Olgiert Łotoczko**, II otrzymał **Tadeusz Piekło**, a III **Wiesław Koszela**.

Autorkami wierszy wyróżnionych były **Zofia Stapor** i **Barbara Tondos**.

„Noc Jazzu i Poezji” była jedną z najbardziej atrakcyjnych imprez w czasie trwania „Dni Rzeszowa”. Poezję reprezentowały recytowane przez autorów nagrodzone wiersze, jazz — zespół pod kierunkiem **Jana Babuli**, konferansjerkę prowadził **Zdzisław Sikora** — aktor Państwowego Teatru im. Wandy Siemaszkowej. Licznie zgromadzeni miłośnicy wierszy i muzyki (około 400 osób) w wyniku plebiscytu wyróżnili nagrodą publiczności wiersz **Andrzeja Zabierowskiego** „O stworzeniu człowieka”.

W dniu 12 bm. jury Turnieju Jednego Wiersza ogłoszonego przez Wydział Kultury MRN i Klub Literacki i Zakładowy Dom Kultury WSK w Rzeszowie — w składzie: **Adam Włodek** — przewodniczący, **Jerzy Pleśniarowicz** i **Bogdan Loeb** — członkowie, w wyniku dyskusji przyznało następujące nagrody ufundowane przez Prezydium Miejskiej Rady Narodowej.

I nagrodę uzyskał wiersz pt. „Skraj ziemi” opatrzony godłem „Muriel”.

II przyznano wierszowi „Drażnienie kory” — godło „Nigat”.

III nagrodą — wiersz „Dojrzwianie snów” — godło „64”.

Ponadto jury postanowiło wyróżnić utwory „Wizyta” — godło „Ewa” i wiersz bez tytułu — godło „Józef”.

Na turniej nadesłano ogółem 53 utwory, z których wszystkie warunki turnieju spełniły 43 wiersze. Ogólny poziom prac nagrodzonych i wyróżnionych był dość wysoki. Wszystko to świadczy o żywym zainteresowaniu turniejem i imprezą oraz o żywotności rzeszowskiego środowiska literackiego. Warto więc w przyszłości pamiętać o tego rodzaju konkursach w czasie trwania „Dni Rzeszowa”.

J. G.

Olgiert Łotoczko

SKRAJ ZIEMI

MOTTO:

*I tak się właśnie kończy świat
I tak się właśnie kończy świat
I tak się właśnie kończy świat
Nie hukiem ale skomleniem*

T. S. ELIOT

Oto jest ziemia
która nie jest jako dobrodziejstwo
ani zło
ani pokrzepienie
ani nieszczęście
nie jest ani życie
ani choroba część życia
ale śmierć
swoja własna śmierć

oto jest ziemia która jest na końcu
ani pełna
ani rozdarta
ale nowy kształt
jak nowy kształt jest szkielet umarłego
i odeszłego od kształtu

oto jest kształt ostatni ziemi
jałowy w substancji
jałowy w formie
na czas jednej pory wiatru

ludziom którzy pelzają z rozbitej łodzi
z morza w czas sądu
z wody w czas sądu aby umrzeć z pragnienia
jest miłosierdziem
ziarnem niewidzenia
niesłyszania
nieodczuwania
ziarnem piasku na zmęczone oczy
mizerykordią.

Flirt, oczywiście, był z teatrem w czasie tegorocznych spotkań. Chwilami mocno staroświecki, grzecznościowy, ot tak, jak uwodził się z nudów bezbarwną kobietę, w niektórych dni pasjonujący, bliski miłości i oczarowania.

Dni było dziesięć — wcale to nie mało, by uwieść nawet najbardziej opornego. Warunek zasadniczy — gra musi być inteligentna, a partner świadomie użytkowywać wszystkie uroki, jakie zdążył nagromadzić w przecznej mądrości.

DZIEŃ PIERWSZY

W pierwszym dniu IV Rzeszowskich Spotkań Teatralnych, poszerzonych w tym roku o dwa zagraniczne teatry ze Lwowa i Preszowa, uwodził nas lwowski Teatr im. Gorkiego. Wybrał do tego celu oręż nie najcieplejszy, bo sztukę polskiego autora Tadeusza Kożuszniaka, u nas nie grywaną, z gatunku farsowych komedijek, gdzie dużo śmiechu z tradycyjnych powikłań, wiele hałasu o nic, żywa, zgrabnie skonstruowana. Szkoda.

Heloizę z przejęciem dla tej mądrej, kolosalnej roli, ale monotonia frazy dźwięczała w każdym monologu, nużyła. Abelard Zygmunta Władernego, szary i niepozorny, cały czas bardziej kochanek niż uczonec, bezbarwnie niósł swój los poprzez spektakl. Były w tym przedstawieniu natomiast dwie role, które, zgodnie z zasadą przeciwieństw, biły: Fulberta i diuka d'Anjou. Pierwsza z nich, pełna namietności, złożona psychologicznie, zadecydowała, że Bolesław Orski — Fulbert był postacią centralną sztuki, druga — Jerzego Szmida, reprezentowała aktorstwo skupione, inteligentne.

Mimo te niedostatki Roger Vailland wywodził zwycięsko; przedstawienie klarowne, czyste, mogło służyć za przykład harmonijnej współpracy reżysera i scenografów oraz ambicji kieleckiego teatru.

DZIEŃ TRZECI

Barwna. Ruch. Piękne aktorstwo. Mówię o „Don Alvariesie” — XVII-wiecznej komedii staropolskiej Lubomirskiego, którą w sposób najdoskonalszy spreprował Zygmunt Hübnier. Teatr Stary z Krakowa, któremu raczej obcy ten typ repertuaru oczarował nas przed-

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

DZIESIEĆ DNI FLIRTU

Przed wszystkim dlatego, że ta blaha farsa była zagrana! Z temperamentem, autentycznym aktorstwem, dynamicznie. I jak tu nie żałować, że nie przywieziono do nas dobrej drapieżnej komedii! Ze to nie był Gribojedow na przykład; Gogol? A jeśli już kurtuazja wobec polskiego widza i polska sztuka w jej wyniku (co mnie osobiście wydaje się pięknym i przemyślanym gestem lwowskiego teatru) — ile nowych prawd ze starej „Moralności pani Dulskiej” wyzwoliła inscenizacja moskiewska na Festiwalu Sztuk Polskich? A „Biuro dobrych usług” do polskich znakomitości dramatycznych, przy całym szacunku dla jego autora, nie należy.

Mimo te niedostatki sztuki, przedstawienie bawiło komizmem sytuacyjnym, a Anatol Horezyński, który je reżyserował, podał komedię Kożuszniaka czytelnie, z wyraźną tendencją do wyjaskrawienia farsowych spięć. Dobre aktorstwo całego, bardzo młodego zespołu, zasługiwało na szczególne uznanie.

W sumie — spotkania zaczęły się miłą rozrywką, odbieraną z przyjemnością przez polskiego widza.

DZIEŃ DRUGI

Piękna to sztuka, w której kunszt dramaturga walczy o miejsce dla myśli filozoficznej. Roger Vailland przede wszystkim świetny pisarz — autor „Dziwnej zabawy” i „Passatelli”, Francuz wечно poszukujący własnej drogi w literaturze zamknął dociekliwość i niepokój współczesnych w „Heloizie i Abelardzie” — sztuce z pozoru i czasu akcji wczesnośredniowiecznej, a z kształtu filozoficznego nowoczesnej i awangardowej. Drapieżność, bunt przeciw tyranii wszelkiej władzy i zaduma nad rozległym światem uczuć, gdzie po omacku wędruje człowiek, mimo drugiego człowieka zostawiony sobie, przywodzi na pamięć słynną formułę Nałkowskiej, która pomiędzy człowiekiem a człowiekiem kładła tylko milczenie.

„Heloizę i Abelarda” wystawił Teatr im. Stefana Żeromskiego z Kielc w reżyserii Józefa Grudy. Przedstawienie reżysero opracowane bezbłędnie, z urzekającą scenografią i kostiumami Bożeny Karolak i Karola Jabłońskiego, to wielkie milczenie międzyludzkie ułożyło na pierwszym planie. To nie miłość Heloizy do Abelarda była najważniejsza; liczyła się w spektaklu Grudy przede wszystkim przegrana Abelarda — filozofa, który władzę odróżniał od tyranii, pozwalając się zniszczyć tej pierwszej w bezwzględny sposób.

Nie pomogli Grudzie wykonawcy ról tytułowych Irena Olecka grała

stawieniem znakomitym; wyrafinowanym, nową formą komedii dell'arte, w której o lepsze walczyła inwencja reżysera ze świetnością scenografów tej miary co Lidia i Jerzy Skarżyński. Po raz pierwszy, wydaje mi się, mieliśmy możliwość oglądać spektakl, gdzie zamysł scenograficzny rozszerzał możliwość interpretacji; był sam w sobie najważniejszym bodaj elementem przedstawienia, doskonali je. Ironia subtelna czała się w każdym pomysł, w dyskretnej i dowcipnej stylizacji oraz nadawała ton aktorstwu.

Hübnier zaaplikował nam porcję dużej zabawy teatralnej, która rola się od pomysłów, gier, subtelności, w której soczysta brzmiała staropolszczyzna, język zadziwiał pięknem. Czas pracować dla tej komedii, odgrzebanej po trzech wiekach zapomnienia!

I w końcu aktorstwo: precyzyjne, konsekwentne Jolanty Hanisz, brawurowe, rodowodem z komedii so-wizdrzańskiej Romany Próchnickiej, nieco parodystyczne Jastrzębskiego, który podawał tę polszczyznę smakowitą z kunsztem i znawstwem pierwszorzędnym. I jeszcze był Witkiewicz nieodparcie komizny, Pieczka, który donkiszotowską postawą przypominał, że rzecz dzieje się w Hiszpanii. Gronkowski — w przewrotności swojej wyborny.

Duża, i bezbłędna zabawa w teatrze. Bez wątpienia jeden z najlepszych spektakli na spotkaniach.

DZIEŃ CZWARTY

„Autobus do Montany” Willama Inge’a w wykonaniu Teatru im. Osterwy z Lublina, w reżyserii Andrzeja Uramowicza. Pretensjonalna sztuka, która wyprzedzi samotności zaaplikowała nam w przydługiej porcji dialogów, naiwnych i schematycznych. Dziesiąta woda po Williamsie i Millerze. Ci „skłóceni z życia” usiłują mądrze filozofować, mają nawet do pomocy Szekspira, ale rzecz ciągle obraca się w kręgu wielkiego gadulstwa, daje w efekcie znużenie. Forma przypowiadawki, w jakiej zamknął przedstawienie jego reżyser — Andrzej Uramowicz, jeszcze bardziej, moim zdaniem, upraszcza banalne konflikty i demonstruje słabości Inge’a — dramaturga.

Warte pamiętania było aktorstwo Jolanty Bohdal jako Elmy Ducksworth — oszczędne, autentyczne młodzieńcze, o wielkim uroku.

DZIEŃ PIĄTY

Teatr im. Słowackiego z Krakowa zaprezentował nam, dla mnie osobiście niezbyt sprawną, przesadzą dramatycznymi słabościami, dłużyznami, staroświeckimi monologami „na

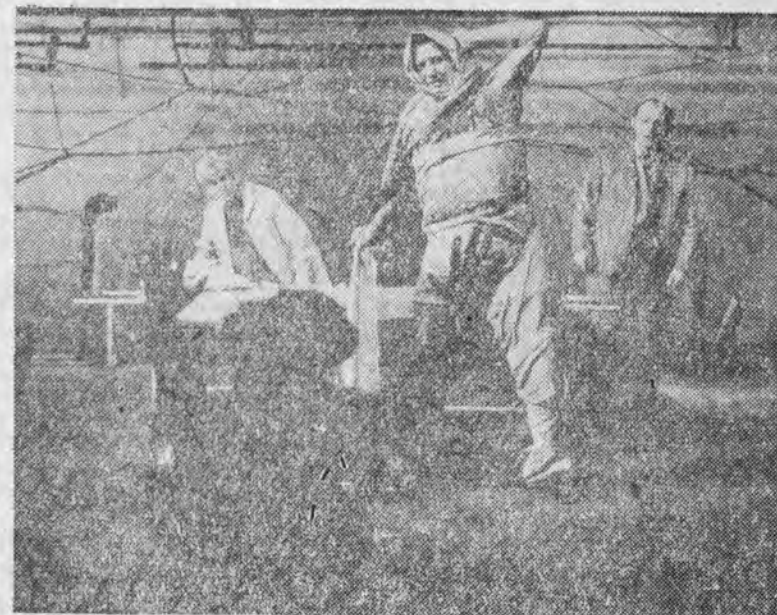
stronie” „Zabusie” Zapolskiej. Ale co z niej zrobił Roman Niewiarowicz i dobrzy aktorzy! Gdyby był jeszcze nie oszczędził niektórych przydługich tryad, rzecz byłaby fajerwerklem dowcipu. Błysnęła nam ta ramotka autentycznym humorem, nieco jadowitym, ośmieszyła nieznacznie Zapolską-moralistkę, przydając w zamian uroku cnotom dramaturga. W nazbyt długim akcie I brylowała aktorka Matusiakówna, w II i III znakomity był Rak-Balcerzaka, u którego techniczne rozegranie szczegółu dochodziło do perfekcji. Uroczą Zabusią była Zofia Bajuk, która z przymrużeniem oka i dystansem do Zapolskiej wybiegała poza konwencję przedstawienia. Całość dopełniał salon ze złego snu, przewrotnie zapobiegawczy przez Kazimierza Wiśniaka.

A więc znowu dobra zabawa!

DZIEŃ SZÓSTY

Teatr Rozmaitości z Krakowa przywiózł sztukę „polskiego Corneille’a” — pseudoklasyczny dramat Alojzego Felińskiego „Barbara Radziwiłłówna”, wyreżyserowany na uroczystości związane z 600-leciem Uniwersytetu Jagiellońskiego przez Halinę Gryglażewską — przedstawienie klarowne, oparte na dialogu, na pięknej sztuce mówienia wiersza, z którą zresztą nie zawsze było najlepiej. Dobry zamysł ozywających portretów, przeniesiony imaginacją mądrą na scenę przez Jerzego Jeleńskiego, zwiększał czytelność przedstawienia, tonował jaskrawe niezgodności historyczne, kładł nacisk na poezję, której patyna czasu nie umniejszała blasku i pięk-

(Ciąg dalszy na str. 2)



Teatr Ludowy Nowa Huta. Tadeusz Hołuj: „Puste pole”. Reżyseria i scenografia: Józef Szajna. Na zdjęciu: Halina Dobrucka, B. Smola, T. Szaniecki, J. Wiczorek.

DZIESIĘĆ DNI FLIRTU

(Ciąg dalszy ze str. 1)

ności. Aktorzy nie mieli łatwego zadania; bez podparcia scenograficznego, ustrojeni w renesansowy kostium, zmuszeni byli rozgrywać dramat nieco koturnowo. Zofia Kalińska — spadkobierczyni postaci Barbary po największych sławach sceny polskiej mówiła wiersz ładnie, z wycuciem i wdziękiem; interesująco zaprezentowała się także Zygmułt August w wykonaniu Witolda Gruszeckiego. Bona Marli Malinowskiej, przy nadmiernym wykorzystaniu gestu, nie miała tej sily, do jakiej zobowiązywała rola; pozostała we mnie niezaspokojona ciekawość, co też robiła z niej Halina Gryglaszewska — aktorka wiele mi ulubiona?

DZIEŃ SIÓDMY

Fascynacja teatrem Szajny. „Puste pole” Holuja stało się scenariuszem do przedstawienia, który pozwolił reżyserowi szokować teatrem obrazów, metafory i skrótów. Literatura była tylko jego cząstką, integralnie wrośniętą w teatr — była inspiracją do własnego widzenia rzeczywistości. Można by dyskutować ogólnie, czy taka jej funkcja być powinna, ale znakomite przedstawienie, w jakim reżyser zamknął jej kształt, wyklucza tę potrzebę. Wydaje mi się, że w tym tkwi siła tego niezwykłego teatru, iż podopiecznemu on słowo całości obrazu, działa poprzez obrazy, bezbiednie oddając sens literacki, ducha sztuki. Ze zawiera w sobie zaw sze prowokacyjną chęć sporu, choć w przypadku „Pustego pola” — spór jako taki dla mnie nie istnieje. W zbyt doskonałą bowiem wizję spłoty się tu dwa podstawowe elementy każdego teatru: literacki i inscenizacyjny. Daleko posunięta swoboda Szajny, z jaką rozporządzał sztuką Holuja, na którą zresztą dał pełne przyzwolenie jej autor, spotęgowała agresywną się wymowę ideową, przekreśliła możliwość werbalizmu intelektualnego, ograniczyła jej wymowę do najbardziej dramatycznych sytuacji.

Wędrowka w pustce dosłownej, gdzie tuste trawy są jedynym widocznym znakiem tragedii ludzkiej, w pustce metaforycznej wytrawionych ludzkich idei, przeplata się z kosmosem, który emanuje na otoczenie, i u zwykłych, przeciętnych jednostek powoduje dzikie reakcje przez analogię do czasów obłąkanego zezwierzczenia.

Nie tu do końca nie jest powiedziane, wszędzie przewija się okrucieństwo, a normalna sytuacja, w jakiej znaleźli się przypadkowo spędzeni statystyci wyzwała ulomności ludzkie z przedziwną ostrością, potęgowała koszar tego, co było w konfrontacji z rzeczywistością, z tym co jest, co mogłoby być. Okrutna próba określenia reakcji ludzkich poprzez konkretne warunki, w ja-

kich przyszło egzystować. Próba rozdrapywania przeszłości, koniecznej do rozrachunku moralnego, próba wstrząśnięcia pamięcią.

I Holuj, i Szajna przeżyli obozy koncentracyjne, dlatego może nie lagodzi okrucieństwa bodaj cień sentymentalizmu, któremu niewiele twórców mogło się oprzeć. Brutalna prawda i historia rządzą niepodzielnie „Pustym polem” i może właśnie w wizji okrutnego, ale prawdziwego świata, można liczyć na przyszłe wartości moralne i humanistyczne? Może w potępieniu brudu i wojny odrodzi się gorzkie, cierpliwe czekanie na doskonalszy kształt świata?

Daleko poszedł Szajna — reżyser w swoim przedstawieniu, mieszając z całą świadomością dwa okresy historii, zacierając wątki sztuki, wprowadzając je do wspólnego mianownika grozy, która drzemie w ludzkiej pod ręką pustką, jaką zostawiły w ich psychice czasy obózów.

Wydaje mi się, że wielkość tej mistyfikacji poetyckiej, zamkniętej w wizji oświeceniowej, tej sprzed 20 laty i tej dzisiejszej, polega na artystycznie jednolitej koncepcji autora, inscenizatora i scenografa. Niesamowita w realizmie scena gazowania dziewcząt, które z leniwą martwością pustych i głupich lalek wpadają pod wpływem nastroju, otoczenia, a może nawet zrozumienia w histeryczne obłąkanie zaszczytów kobiet — rytmiczny ruch, dźwięk i światło — w swoim koszarze staje się największym protestem ludzkim, wołaniem żarliwym o prawo do spokoju.

Teatr Szajny przestał być teatrem eksperymentującym. Stał się odrębnością już ukształtowaną o jednolitym zamysle artystycznym, teatrem poszukującym, ale bez błędzenia po omacku. „Puste pole” Tadeusza Holuja w reżyserii i ze scenografią Józefa Szajny widzę jako rzeczywiste wydarzenie IV Rzeszowskich Spotkań Teatralnych.

DZIEŃ ÓSMY

I znowu „Przeziębca”. Krażyła o niej wcześniejsza legenda, kładąc tę komedię goryczy i tragicznych rezygnacji w rzedzie najlepszych inscenizacji ostatnich lat. Legenda nie była bezpodstawa: „Przeziębca” wystawiona przez Teatr Narodowy to jedna z najlepszych, a zarazem najdziwniejszych inscenizacji, do których przyczyniła nas tradycja. I nigdy nie dostrzegła w tej szalenie mi bliższej sztuce tyle goryczy, zniechęcenia i ironii, co w przedstawieniu Jerzego Golińskiego, które dopełniło, dookreśliło aktorstwo Gustawa Holoubka i scenografia Andrzeja Stopki.

Wyrosła w nim ta „Przeziębca” trochę na szopę narodową, bar-

dzo — na ironiczny dramat obyczajowy, gdzie nieobojętny na pewno czas, w jakim napisał ją Żeromski — pierwsze lata drugiej niepodległości, rok 1924.

Szokowało to ustawienie Przeziębca, którego grał Holoubek zmęczeniem, bez zapалу, bez „prorocztwa” i entuzjazmu dla pracy od podstaw. I kiedy stał ten niepiękny bohater przed gromadą starych profesorów, traktując ich z należytym respektem, ale trochę jak dzieci, kiedy ironizował ze szczytnych powołań, dając tym samym właściwy wymiar rzeczywiście pracy, kiedy uwodził Sienkiewiczą uprzejmie, ale bez znużenia, górą w intelektualnym, był na pewno bliższy Żeromskiemu od rozentuzjazmowanych czarodziejów, którzy w tej roli blyszczeli.

Ale do takiego Przeziębca trzeba się było przyzwyczajać powoli. W pierwszej scenie to jeszcze był szok. Jaką ironią i zniechęceniem zadźwięczały „moje obyczaje”; jak zmieniła się przez to koncepcja Smugoniowej, którą znakomicie grała Katarzyna Laniewska, w płochą kobietkę, zwiedzioną urokami innego, większego świata! Ile niepokoju zostało w nas, kim naprawdę był Przeziębca i co mu tam w duszy grało, kiedy z właściwą Holoubkowi łagodną, nienatarczywą perswazją wyjaśniał Smugoniowej, że kabotyństwem to on nie jest...

O Sienkiewiczce Mikołajskiej nie piszę — wypisano już wszystko. Doskonałość kobiety wyższej nad środowisko, z którym zebrała ją uczucie w południe jesieni, zagrała przejmująco, wykorzystując do roli cały wachlarz dojrzałego aktorstwa. Na wymowę sztuki w ogóle, nie miało to jednak większego znaczenia. Brakło natomiast na rzeszowskiej scenie pełnej scenografii: tej rapsodycznej wierzby, która by podkreśliła nieco ironiczny sens polskości, głębi i powietrza. Zanadto stłoczona sałka szkolna, stylizowana na szopę, nie dawała wrażenia przestrzennego i ograniczała ruch sceniczny.

W sumie została ta warszawska „Przeziębca” po sobie niepokój i zachwycenie, że można ją w nieskończoność udoskonalać inscenizacyjnie, można ją czytać i nieustannie odkrywać w niej nowe sensy. Chwała jej za to! W konsekwencji prostej czekam na następną, gdyż, jak to już pisałam kiedyś, w nowej prawdzie upatruję wszelkiego znaczenia teatru.

DZIEŃ DZIEWIĄTY

W atmosferze zbudowanej dwoma znakomitymi przedstawieniami, kolejno następującymi po sobie, zaprezentował się gospodarz spotkań — Teatr im. Siemaszkowej, wystawiając sztukę Krzysztofa Chojńskiego „Nozna opowieść”, w reżyserii Ireneusza Erwana. Sztuka na pewno interesująca, współczesna, o niebanalnym ładunku prawd moralnych, które przedstawienie rzeszowskie podkreślało dość wyraźnie. Nie miało ono jednak zwartej, konsekwentnej budowy, pierwszy akt prowokował sztuczne sytuacje, nie tworząc atmosfery osaczenia i grozy.

Na pewno interesująco zarysowały się dwie postacie przedstawienia: genre aktorski Mancewicz w roli Karola znalazł dobre zastosowanie; świetnie i z dużym ładunkiem intelektualnym zbudował swego Fotografa Gallitski. Podobają mi się także w swoim opanowaniu i surowości Elżbieta Lityńska. Natomiast zupełnie nie wykorzystał swej roli Henryk Gońda, dając sylwetkę Marka ledwie naszkicowaną, niepełną, zmieniwszy przez to jej jednoznaczny sens, ogromnie przeciętny dla ideowej wymowy sztuki.

DZIEŃ OSTATNI

Na zakończenie przygotowano dla publiczności występ Teatru im. J. Zaborzkiego z Preszowa „Romeo i Julia” Szekspira, w reżyserii Vladimira Petruszki.

Gigantyczne przedstawienie, z piętyzmem ogromnym odnoszące się do słowa genialnego dramaturga. Ogromny szacunek mam dla wysiłku tego teatru, który pierwszą część trzymał w żelaznych rygorach epickiej opowieści o miłości dwojga kochanków, budo-

wał dramat poprzez umiejętne rozwiązanie wątków i sytuacji. Aktorzy grający Romea i Julię — bardzo młodzi, uroczy, naturalności i wdzięku pokrywali brak umiejętności aktorskich. Końcowy efekt przedstawienia nieco zagubił precyzję inscenizatorską, ale... widziałam drugi już w tym dniu spektakl. To w sumie była siódma godzina wysiłku aktorów!

Efektowna scenografia Mikulasa Kraviansky'ego, bardzo funkcjonalna, dopełniała w sposób przemyślany ten interesujący występ.

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA



Do artykułu obok —

Członek KC, I sekretarz KW PZPR w Rzeszowie tow. Władysław Kruczek dokonuje uroczystego otwarcia wystawy.

Fot. AL. HADAŁA

EDWARD WISZ

ŁYK SŁAWY

Kiedy rozpoczynałem pracę w redakcji, mówiła jeszcze o nim cała Polska. Był osobą pierwszych stron niemal wszystkich dzienników. Otrzymywał dzień w dzień średnio 60 listów. Pisali do niego naukowcy, agronomowie, rolnicy, nauczyciele, dziennikarze, pisała młodzież szkolna. Polska Kronika Filmowa poświęciła jego osobie specjalne wydanie. Każdy szanujący się reporter poczytywał sobie za honor i sukces przeprowadzenie z nim wywiadu lub zorganizowanie fachowego artykułu.

Były więc Gawłuszowice, rodzina w wieś Karola Malika Mekka wycieczek, środowiskiem chodzących tematów, a on sam bohaterem i osobą wszystkich zjazdów, narad, naukowych seminariów.

— Kim jest ten Malik? — pyta dzisiaj kierownik Wydziału Rolnictwa i Leśnictwa Prez PRN w Mielcu. Swoją drogą, kierownik jest młodym pracownikiem i w latach, kiedy Malik święcił triumfy, on przygotowywał się do egzaminów na wyższe studia.

— Naprawdę chce pan pisać o Maliku? — dziwił się przewodniczący GRN w Gawłuszowicach. — Przecież to dziwak!

Nie miał szczęścia w życiu. W czasie I wojny światowej został powołany do wojska, do obrony interesów najjaśniejszego Franciszka Józefa. Dano mu do ręki karabin, ubrano go w mundur nieco za obszerny i dziurawy i posłano na front. Walczył we Włoszech, Francji i wreszcie wśród swoich w Galicji.

Karpacki front. Późna jesień. Batalion okopał się w lesie. Nieprzyjacieli nęka zniechęconych i zgłodniałych żołnierzy artylerią. Pewnego dnia w szczylną ziemiankę, w której siedział Malik, uderzył pocisk i zwały ciężkiej gliny oraz wyrwane z korzeniami drzewa runęły na schron. Orzeczenie lekarskie brzmiało: „Poważne uszkodzenie błony bębenkowej. Grozi utrata słuchu”.

Niestety, okazało się, że diagnoza była trafna. Ogluchł zupełnie. I odtąd najwierniejszym przyjacielem pozostała mu książka. Czytał dużo, szczególnie fachową literaturę dotyczącą rolnictwa. Potem w małym ogródku, w którym dotychczas rosły tylko chwasty, przystąpił do prób.

Były to lata, kiedy teorie Miczurina, Lysenki i Williama uchodziły za bardzo modne. Malik próbował szczęścia krzyżując z sobą niektóre pokrewne rośliny, ale szybko z tego zrezygnował. Po prostu nie opłacała się skórka za wyprawę, mimo że miał nawet niezłe wyniki.

Kiedyś przeczytał w jakimś piśmie naukowym, że w Polsce od lat czynione są próby z zaaklimatyzo-

waniem sorga, którego ojczyzną jest sioneczne południe. Udało mu skądś zdobyć garść nasion. Na 150 m kw. po 4 latach doświadczeń uzyskał 50 kg ziarna i duże wiewchy na 4 m wysokości. Miał z tego 64 miotły, 75 m kw. doskonałej trzciny tynkarskiej i duże ilości korzeni do wyrobu szczonek.

Tak narodziło się polskie sorgo na gawłuszowickiej ziemi.

Malik o swoich wynikach napisał do Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin w Warszawie, podając w liście szczegóły tego niecodziennego eksperymentu. Tam podobno uznano go za maniakę, ale na wszelki wypadek delegowano do Gawłuszowic swego przedstawiciela. Zanim ten dotarł do wsi i odnalazł autora listu, zapadła już noc. Gość oglądał kilka kłosi sorga, a ponieważ się spieszył, bo rano chciał być jeszcze w Puławach, bał się pod nosem kilka komplementów i powiedział Malikowi, by za 3 dni zgłosił się w Warszawie. Nie wiedział, że Malik jest kompletnie głuchy i z tej zdawkowej rozmowy nie rozumiał ani słowa. Nerwowe zachowanie się przedstawiciela IHar-u i jego szybki wyjazd z Gawłuszowic uznał jako swoją porażkę. Dziś mówi, że miał wtedy ochotę spalić nasioną i lodygi, rzucić wszystko w kąt.

Tymczasem w Warszawie na próżno oczekiwano przyjazdu Malika. Zawiadomiono naukową placówkę w Krakowie, prosząc o natychmiastowe zainteresowanie się „miczurinowcem” z Gawłuszowic i jego wynikami z uprawą sorga. Do wsi przyjeżdża 3-osobowa komisja. W miesiąc później listonosz wręcza mu pilną depeszę. „Obywatelu Malik — czytał z zadowoleniem. — Wasze obserwacje i spostrzeżenia dopomogły nam w opracowaniu nowych metod uprawy. W najbliższym

czasie organizujemy naradę. Proszę przygotować się do wyjazdu”. I u dołu podpis: Prof. dr Kazimierz Miczyński, kierownik Zakładu Uprawy Roślin i Nasiennictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W kwietniu 1951 r. przyjeżdża Malik na konferencję naukową do Krakowa. Siedzi w przednim konferencji. W referacie kilkakrotnie wymieniają jego nazwisko. W czasie przerwy przyjmuje gratulacje od największych sław krajowych i zagranicznych. Błyskawia flesze, trzaskają migawki aparatów fotograficznych licznie zebranych fotoreporterów. Polskie Radio ściga z programu audycję sportową, aby nadać 10-minutową wypowiedź Malika.

Jego zdjęcie na drugi dzień znajduje się na pierwszych stronach wielu dzienników. „Polski miczurinowiec rzuca wyzwanie nauce”. „Polscy naukowcy korzystają z rad i wskazówek chłopca spod Mielca”. „Czarodziej z Gawłuszowic przystąpił do zaaklimatyzowania bawełny”. Oto tylko niektóre tytuły wybrane na chybił trafił z ówczesnych p.sm.

Malik pieczołowicie składa wszystkie artykuły, w których pisano o nim. Na strychu ma pełny kufer dyplomów i listów ze słowami pochwały i uznania.

Porozumiewam się z nim za pomocą pytań pisanych na kartkach papieru.

Szybko więc kreślę nowe pytania: A co z bawełną? Proszę opowiedzieć jak to było?

Malik wyjmuje z szuflady gruby zeszyt, w którym notował sobie szczegóły przeprowadzanych prób. Czytam: „Rok 1953, 16 sierpnia. Pojawily się pierwsze kwiaty. Po 3 latach doświadczeń udało się. Dziś

wysyłam zawiadomienie do Puław, skąd dostanę nasiona... Rok 1954. Bawełna zakwitła o miesiąc wcześniej, już 16 lipca. Mimo niesprzyjającej pogody...”

Obok dolepony fragment artykułu z jakiejś gazety: „Należy podziwiać odwagę i upór „czarodzieja” z Gawłuszowic”. Z Warszawskiego Instytutu Hodowli Roślin przyjeżdże inż. Zebrowski i uściśnie rękę Malikowi: „Wspaniale sobie poczynacie, kolego. Jak tak dalej pójdzie, to za parę lat wasza bawełna wyjdzie na chińskie pola, jak sorgo”.

Wyhodował pszenicę krzaczastą, potem pracował nad uzyskaniem wysoko wydajnej uprawy jęczmienia. Dalsze próby doprowadziły do zaaklimatyzowania rącznika, koksa-gizu, czumizy japońskiej. Kukurydza u niego rosła na wysokość 5 metrów, a takich kawonów jeszcze nigdzie nie widziano. Niektóre osiągały wagę 9,5 kg. Miał również melony kalifornijskie o smaku i zapachu ananasowym, ogórki tegoż pochodzenia, z których najmniejszy ważył półtora kilograma, a kilka okazów przekroczyło wagę 3 kg. Uprawia jeszcze bakłażany bułgarskie, migdały ziemne oraz dynię melonową i oleistą. Zwłaszcza ta ostatnia doskonale nadaje się na paszę dla bydła. Z 1 ha zebrał w ub. roku blisko 500 q.

— Chciałem przekazać swoje doświadczenia GRN, kółku rolnicznemu, ale oni nie chcą nawet z mną rozmawiać — skarży się. — Za moich dobrych czasów, kiedy byłem na zjazdach w Warszawie, Częstochowie, Poznaniu, Łodzi wprost mnie prowokowano, żebym dalej eksperymentował. Zapewniałem wtedy kogo należy, że gdybym miał odpowiednie warunki mógłbym zrobić znacznie więcej dla podniesienia dochodowości rolnictwa,

XX rocznicę zwycięstwa nad hitleryzmem, a następnie 70-lecie ruchu ludowego, upamiętniono szeregiem cennych imprez popularyzacyjnych w naszym województwie.

Sesja naukowa w Łańcucie poświęcona była bogatemu, burzliwemu i twórczemu okresowi kształtowania się władzy ludowej na Rzeszowszczyźnie. Wspomnienia, jakie słyszeliśmy na tej sesji, uzupełnia coraz bogatsza literatura, której organizatorem jest przede wszystkim Referat Historii Partii KW Rzeszów.

Tam też zgromadzono rozległy zbiór dokumentów, zapisów, historycznych fotografii, posługiwano się magnetofonowym zapisem, metoda fotokopii itp., by możliwie jak najskrupulatniej skompletować materiały dotyczące naszego 20-lecia, jak i całości dziejów ruchu rewolucyjnego na ziemi rzeszowskiej.

Wyniki tych prac udostępnił obecnie szerokim rzeszom społeczeństwa — nie tylko z naszego województwa — na reprezentacyjnej wystawie Ruch rewolucyjny na Rzeszowszczyźnie, zorganizowanej w siedzibie Muzeum przez Komitet Wojewódzki Partii wespół z Muzeum Okręgowym.

Ekspozycję otworzył uroczyste członkowie KC, I sekretarz KW PZPR w Rzeszowie tow. Władysław Kruczek, w obecności tłumnie zebranych działaczy, przedstawicieli kilku już pokoleń. Wskazując na wysoce wychowawcze walory tej wielkiej wystawy, tow. Kruczek wyraził życzenie organizatorów, by służyła patriotycznemu wychowaniu młodego pokolenia.

Przedsięwzięcia Muzeum w dziedzinie upowszechniania historii najnowszej i jej postępowego, rewolucyjnego nurtu przedstawił dyrektor placówki.

Tegoż dnia wystawę zwiedzili przedstawiciele NK ZSL z Józefem Ozgą-Michałskim, delegacją partii ludowej z NRD i Bułgarii. Ekspozycja stała się w centrum zainteresowania aktywów.

Epos kilkudziesięciu lat walki, tożonej na Rzeszowszczyźnie o sprawiedliwą społeczność, jest obszerny i czytelny. Szeroko podmalowano to tych zrywów, ich ekonomiczne i społeczne podłoże, przysłowiową nędzę b. Galicji, na której wyrastały załaski ruchu socjalistycznego, obejmującego później szczególnie takie ośrodki, jak Mielec, Przemysł, Jasło, Krosno, Gorlice, Zasięg działania PPSD określono na mapie dzisiejszego województwa rzeszowskiego. Zebrano również materiały świadczące o roli Przemysła w walce o wyzwolenie narodu i społeczeństwa.

Nawiązując do jubileuszu ruchu ludowego, wystawa ukazuje sylwetki współtwórców programu Stronnictwa Ludowego — Bolesława Wysloucha, Jana Stapińskiego, radykałnego działacza ludowego Antoniego Bomby, który w roku 1918 podjął próbę zorganizowania władzy ludowej w Rzeszowie. Więźni b. władz austriackich, następnie sanacji, więziony potem podczas okupacji, po wyzwoleniu Bomba był pierwszym starostą rzeszowskiego powiatu.

Wykresy zbędnej ludności na wsi, źródłowe zapisy z ksiąg urzędowych świadczą o katastrofalnym pogorszeniu się sytuacji mas pracujących miast i wsi na terenach dzisiejszego województwa rzeszowskiego, gdzie wojna światowa szczególnie pogłębiła wyzysk i niedole. Bogaty jest zestaw dokumentów dotyczących „Republiki Tarnobrzesc-

kiej” i jej współtwórcy Tomasza Da Bała, który mobilizował masy chłopskie do walki o rząd robotniczo-chłopski, nawoływał do parcelacji ziemi obszarliczej, domagał się zniesienia lichwy, upowszechnienia oświaty na wsi, upaństwowienia fabryk. Świadczą o tym dokumentalne zapisy z jego wystąpień na wiecach w Poznaniu, w Radomiu, wielokrotnie w Warszawie. Od chwili przystąpienia do KPRD, działalność Dabala objęła tereny całej Polski.

W ogniu walki montował się i cementował Front Młodego Pokolenia. Pamiętny zjazd w Nowosielskach w r.

Cecylia Błońska

KSIĘGA WALKI I ZWYCIĘSTW

1938, długotrwały strajk robotników Rafinerii Nafty w czerwcu 1937 roku, strajk w Libuszy, któremu przewodził klasowy związek zawodowy robotników przemysłu chemicznego, wkrótce potem fala strajków rolnych obejmująca folwarki Zarzecze, Roźniałów i strajki solidarnościowe w Sienawie, Pantalowicach, Urzejowicach, Łopuszce Małej i Wielkiej — gruntowały świadomość wspólnego celu.

W strajkowej walce chłopów rzeszowskich nie byli osamotnieni. Pod przewodnictwem KPP utworzony został Chłopsko-Robotniczy Komitet Rewolucyjny, stawiający sobie za cel zacieśnienie współpracy robotników i chłopów dla zdobycia władzy w państwie. W jego skład wchodził przedstawiciel KPP, SL, ZMW „Wici”.

Wystawa wszechstronnie obejmuje dzieje okupacji, walkę prowadzoną pod przewodnictwem PPR, boje AL, GL, Batalionów Chłopskich. Mały miejsc walk i meczeństwa stanowią, po wsze czasy, świadectwo bohaterstwa i martyrologii narodu.

Księga Zwycięstwa nawiązuje do jubileuszu wystawy, która opowiada o pierwszym dniu wolności, o zmudnej a zwycięskiej drodze, ostatniego 20-lecia.

Ukazuje ona, jak władza ludowa konsekwentnie realizuje postulaty, dążenia, które ongiś przyswiewały rewolucyjnym poczynaniom mas ludowych tej Ziemi: duży fragment ekspozycji poświęcono realizacji dekretu o reformie rolnej, nacjonalizacji przemysłu, wynikom upowszechniania oświaty i kultury.

Scenariusz wystawy przygotował zespół Referatu Historii Partii pod kierownictwem tow. mgr Zdzisławy Trafińskiej.

Dzięki staraniom Muzeum, artystów-plastyków: Zuzanny i Alfreda Kudów, Zdzisława Ostrowskiego, Stanisława Lubasa, materiał fotograficzny i ikonograficzny otrzymał atrakcyjny tło:

artystyczne makiety, efekty świetlne i dźwiękowe, nowoczesny sprzęt wykonany przez eksperymentalną pracownię Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, stanowią pożądaną oprawę.

Nie bez znaczenia też jest kolekcja militariów z okupacyjnego czasu. Broń, obecnie całkowicie już muzealna, w walce z okupantem użyteczna i celna. Autentyczne, jakże prymitywne powielacze, za pomocą których sporządzano krzepiące tajne ulotki z wieściami o postępie wyzwoleńczej ofensywy, maszyny, na których pisano konspiracyjną prasę, i barwna, liczna, o szczególnym znaczeniu kolekcja sztandarów, które niejednej walce towarzyszyły, przekazana przez Komitet Wojewódzki partii oraz Wojewódzki Komitet ZSL.

Po czasowej wystawie „PPR na Rzeszowszczyźnie”, „Okres PKWN”, wystawie plakatu politycznego z pierwszych miesięcy po wyzwoleniu, lokalnej ekspozycji „Pierwszy dzień wolności w Rzeszowie”, czynna obecnie stała tego formatu wystawa „Ruch rewolucyjny na Rzeszowszczyźnie”, posiada szczególne znaczenie w pracach popularyzatorskich Muzeum, poświęconych dziejom najnowszych.

Wśród pierwszych zwiedzających, widziałam ludzi, którzy ongiś ofiarnym trudem, ryzykując życie, wnieśli swój wkład do sposu walki, chlubił się zapisując w nim swe nazwiska.

Ich pragnieniem jest, by ten okres historii stał się szczególnie drogi i bliski młodemu pokoleniu.

Nie tylko szkoły, ale i Studia Naukowych, organizacje młodzieżowe, Uniwersytet Ludowy, wprowadzając po wystawie młodzież — przyszłych organizatorów życia gospodarczego, politycznego, kulturalnego dzisiejszej Rzeszowszczyzny, odczytywać tu będą pouczające rozdziały z księgi walki i zwycięstw.

Stanisław Galos

KRĘTE ŚCIEŻKI AWANSU

Inżynier Czesław Czerwiński jest z wielu przyczyn znana postacią w Nowej Dębie; z zawodu konstruktor, od lat pracuje nad doskonaleniem produkowanych przez miejscowe Zakłady Metalowe żelazek. Zaprojektowane przez niego żelazka otrzymały wysoki znak jakości nie tylko na rynku krajowym. Kto wie jednak, czy nie większy rozgłos zyskała mu inna pasja, oryginalna i trapiąca — pasja księgarstwa. Otóż każdego dnia wczesnym rankiem, zazwyczaj parę minut po godzinie 6 i po południu, kilka minut po godzinie 15 przed bramą wejściową do fabryki zjawia się dwukolorowy wózek przerobiony i przystosowany do funkcji ruchomej księgarni. Tazczy go zazywny pan po czterdziestce. Jest to właśnie on, Czerwiński — inżynier z zawodu, księgarz z zamiłowania.

Inżynier Czerwiński umie zainteresować książką nawet ludzi, dla których jedyną lekturą jest sporadycz-

nie czytany któryś z dzienników. Najbardziej jednak zachęca do czytania książek traktujących o minionej wojnie. Nieprzypadkowo chyba, skoro sam przesiedział 5 lat w obozach koncentracyjnych, poznał czym był Oświęcim, Gusen, Mauthausen.

Księgarstwo ob. Czerwińskiego, jego gorliwość w promogowaniu literatury wojennej są szczególnie symptomatyczne w Dębie. Młodzi robotnicy, w przytłaczającej większości nie starsi niż PRL, tylko z opowiadań rodziców wiedza, że właśnie tutaj stacjonowały wojska i sztab von Paulusa zanim wyruszyły pod Stalingrad po swoją zglisnę. Ale inż. Czerwiński chciałby przecież, żeby młodzi znali nie tylko takie szczegóły. Pragnie, żeby zrozumieli czym był koszmar hitleryzmu.

Tysiące książek sprzedał w swojej ruchomej księgarni inż. Czerwiński i zapewne wzbogacił domowe biblioteki robotników jeszcze o niejedną ty-

siąc, wykonując tym samym kilkadziesiąt procent nigdzie nie ujętego planu, o jeszcze bardziej procentujących, choć niewymierzalnych skutkach. Bo trzeba wiedzieć, że również ciekawym jak hobby inżyniera jest krąg kontrahentów jego księgarni. Nie tylko dlatego, że są to młodzi odbiorcy. Do Zakładów Metalowych w Dębie, czółowego w skali krajowej zakładu, producenta doskonałych silników motocyklowych co dzień dojeżdża około dwie trzecie załogi; ze wsi, które do dziś jeszcze wyraźnie odcinają się pod względem kulturalnym od osad ciążących do Stalowej Woli, Mielca, Rzeszowa. Cóż tu ukrywać — północne tereny Kolbuszowskiego i wschodnie okolice Niżańskiego dotychczas jeszcze stanowią zaniedbane pod względem rozwoju kulturalnego polacie województwa. Tu stałe zwykły standard życiowy koczystuje z archaicznymi zwyczajami.

Tylko w 1965 roku w Zakładach Metalowych zatrudniono dalszych kilkuset młodych ludzi, którzy po raz pierwszy zetknęli się z cywilizacją przemysłową, ze skomplikowanymi maszynami. Pochozą oni przeważnie z Rutek, Poreb Dymarskich i innych wsi odciętych od świata lachami lotnych piasków, podzielonych na skłócone rodzinne klany, gdzie biedny 2-morgowy gospodarz często nadal wierzy, iż jest czymś gorszym — już od urodzenia — od majetniejszego.

I o tym wie inż. Czerwiński, starannie dobierając pozycje dla swojej księgarni, tak, żeby one były strawne dla różnorodnej klatek. Kiedy zaś brakuje mu jakiegoś tytułu, poleca wizytę w miejscowej bibliotece. 8 tysięcy woluminów liczy księgozbiór związkowej i jedynej zresztą w mieście biblioteki. 8 tysięcy tytułów dla 7-tysięcznego miasta, przez które co dzień przewija się dalszych kilka tysięcy osób — robotników fabrycznych, mieszkanców okolicznych wsi, — nie należy to pewno do imponujących osiągnięć.

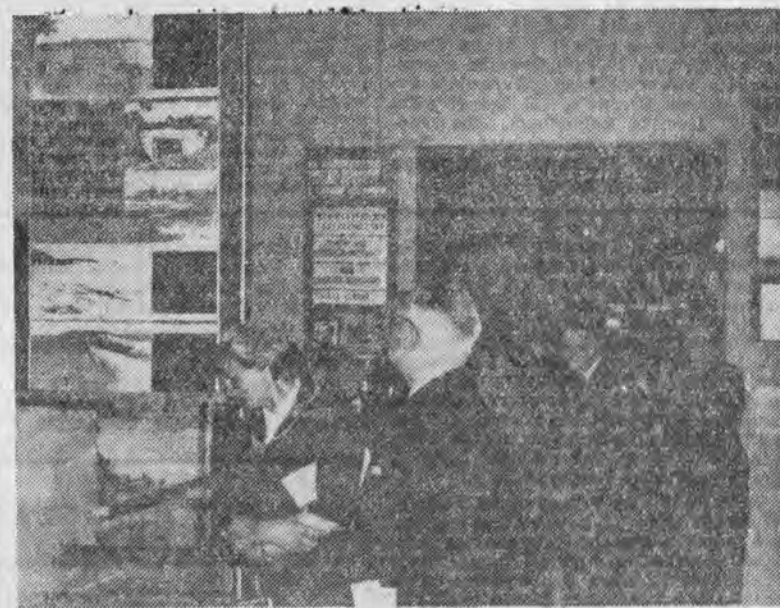
Inżynier Czerwiński jest człowiekiem średniego pokolenia. Okres jednego pokolenia dzieli go od przeciętnej wieku, w młodym mieście słynącym z najwyższego przyrostu naturalnego w województwie. Dla chłopów i dziewcząt, którzy przybyli do Dęby z Rutek, Poreb Dymarskich, Cmolasu i zamieszkali w kolorowych już teraz blokach, we własnym mieszkaniu, pojele granic zasadniczych potrzeb oscyluje wokół dostatecznego wyposażenia mieszkania. Inż. Czerwiński zapewne wie, że książka nie ma tu priorytetu przed motocyklem, bogato zdobionym dywan przed biblioteką, wyjazd do teatru przed sąsiedzką pogawędką. Pojele kultury pojmowane jest w niektórych kręgach jeszcze jako konieczność przyswojenia sobie powierzchownych form bytowania „po miastowemu”. Czasem bywa to bezkrytyczne przyswojenie malomiaszczkowego bon tonu. Inż. Czerwiński widzi też zapewne, że poszczególne bloki mieszkalne w N. Dębie stanowią jakby wyizolowane światy, samowystarczalne w zakresie kulturalnych potrzeb, gdzie każdy żywo się interesuje co u sąsiada się dzieje, kto gości i dlaczego, co przywiózł dla krewniaka w niedzielę krewalak ze wsi.

Dla wielu podobnych do Dęby miasteczek, nowych, niespokojnych, na swój sposób chłonnych, preżnych, o

(Ciąg dalszy na str. 4)



Koniec roku szkolnego
Fot. ZDZISŁAW POSTĘPSKI



Wystawę w Muzeum zwiedzają działacze z Warszawy, Rzeszowszczyzny, delegacje z Bułgarii i NRD.
Fot. AL. HADAŁA

„TANGO” Mroźka w Bydgoszczy

Z prapremiera „Tanga” Sławomira Mroźka wystąpił Teatr Kameralny w Bydgoszczy.

Nowa sztuka — to rzecz bardzo „mroźkowska”. W świecie, w którym przestały obowiązywać wszelkie normy konwencjonalne, rodzi się próba przywrócenia konwensansów. Podejmuje ją młody człowiek, który koniecznie chce się przeciwko czemuś zbuntować, a ponieważ wszystko już wolno, usiłuje doprowadzić do tego, aby na nowo istniały zakazy i formy, usunięte przez poprzednie pokolenia („Już nie nie jest możliwe, ponieważ wszystko jest możliwe”). Akcja dzieje się w sztraszliwym, wyładowanym rupieciami domu (tam tak się nikomu nie chce, że nie usunęto nawet... katefalku po pogrzebie dawno zmarłego dziadka). Dużo groteski, celnego ironii, kapitalnych powiedzonek, któ-

re na pewno będą kursować jako aforyzmy. Dwie godziny dobrej zabawy i — chyba także — refleksji. Mroźek, jak zwykle, kpi i osadza swych bohaterów w absurdalnych sytuacjach, ale to przecież nie komedia, ale swego rodzaju moralitet. Przedstawienie (reżyseria: Teresa Żukowska) spotkało się z bardzo dobrym przyjęciem.

Rola: „osoba na razie zwana babcia” czyli Eugenia (Witolda Czernawska), „starszy partner, czyli Eugeniusz” (Zbigniew Kłosowicz), „partner z waskłem czyli Edek” (Stanisław Jaroński), „młody człowiek, czyli Artur” (Tadeusz Morawski), „Eleonora, matka Artura, kobieta w apogeeum wieku średniego” (Ewa Studencka), „Stomil, ojciec Artura, mąż Eleonory” (Stefan Czystewski) i „Ala, kuzynka” (Ewa Miękus).

I tak zrobił bardzo dużo. Rozesłał za darmo paręset kilogramów różnych nasion. Przyjmował u siebie w Gawluszowicach wycieczki z całego kraju, które nigdy nie wyjeżdżały z pustymi rękami. Dziesiątki dorodnych melonów i kawonów zabierały dzieci z sobą. Proszono go o fachowe artykuły i wypowiedzi. Był wtedy popularny.

— Kiedy wysłano mnie na miesięczną kurację do Cieplic — powiada — na stacji witała mnie delegacja z uzdrowiska. Potem dyrektor przedstawił mnie z podium teatru kuracjom. A oni bili brawa. Później siedziałem w łożu. Miałem łzy w oczach.

Nie mniejszą owację zgotowano mu w Szczawnicy. We wsi natomiast pochwały pod jego adresem przepływały się z docinkami i kpina. W tych właśnie dobrych czasach, w których oprócz dyplomów i zaproszeń na konferencje otrzymywał również z instytucji nagrody pieniężne, źli ludzie wybijali mu szyby w inspektach, niszczyli plony, bojkotowali.

Potem nastąpiła cisza. O Maliku nie wspomniano ani słowem. Mało tego. Z Wydziału Rolnictwa i Leśnictwa Prez. PRN w Mielcu wysłano do jednej z redakcji centralnej gazety w Warszawie opinię, w której mówi się, że osiągnięcia Malika, choć były dawniej modne, w rezultacie nie przyczyniły się do podniesienia produkcji, bo była to tylko sztuka dla sztuki. Malik skończył już 70 lat. Astma dokucza mu coraz bardziej, choruje na artretyzm. Nawet dla człowieka młodego taka opinia byłaby ogromnym ciosem. Przez kilka lat zanęcał swoich doświadczeń. Potem doszedł do przekonania, że nie warto przejmować się złośliwościami. Robił więc swoje i najczęściej z dużym sukcesem

W ubiegłym roku mimo niesprzyjających warunków atmosferycznych zebrał na swoich polkach w przeliczeniu na hektar: 24 q żyta, 30 q pszenicy, 260 q ziemniaków, 240 q kukurydzy. Zebrał dwa razy tyle, ile wynosi średnia powiatowa.

Jak zwykle wyhodował również wspaniałe okazy ogórków, melonów, kawonów oraz uzyskał świetne wyniki w uprawie czumizy japońskiej, dyni oleistej i sorga. Podzielił się wiadomościami o tych wynikach z IHAR, przysyłając na dowód prawdy zdjęcia. Choć zachwycali się jego osiągnięciami, przysłał mu w zamian broszurę ze streszczeniem wystąpień na seminarium naukowym. Natomiast Wydział Rolnictwa i Leśnictwa Prez. WRN w Rzeszowie tylko mu zalecił, aby „starał się spopularyzować te osiągnięcia wśród sąsiadów, członków kółka rolniczego oraz w młodzieżowych zespołach przysposobienia rolniczego”. Równocześnie przesłano mu „życzenia dalszej pomyślnej pracy w zwiększaniu i unowocześnianiu produkcji”.

Malik i bez tego pouczenia wie, że nie należy chować swoich osiągnięć pod kocem. Ale większość ludzi go nie rozumie.

Fakt, że wieś współczesna nie może narzekać na brak źródeł wiedzy rolniczej. Ale czy wobec tego nie ma już miejsca i pola do popisu dla upartych doświadczalników? Jeżeli coś możemy dla nich zrobić, to chyba to, by w sposób planowy i zorganizowany wykorzystywać i spopularyzować najcenniejsze ich doświadczenia. Przyczyni się to niewątpliwie do ugruntowania ich pozycji i autorytetu na wsi. Tym bardziej że takich Malików nie ma na wsi rzeszowskiej za dużo.

Kręte ścieżki awansu

(Ciąg dalszy ze str. 3)

niewykształtowanym dotąd obliczu, katalizatorem zainteresowań kulturalnych staje się dom kultury, przyfabryczny klub, I w Nowej Debie istnieje taki przybytek — przyfabryczny klub, ale nie jest on ośrodkiem ciekawym, nawiedzonym i promieniującym. Nie tylko ze względu na liche warunki lokalowe. Żeby nie opustoszały pomieszczenia klubu bez reszty, sięgnięto po zorganizowaną młodzież szkolną. Podkreślam — zorganizowaną młodzież szkolną — by uzmysłowić znikomość organizatorskich poczynań kierownictwa klubu. Istnieją w przyfabrycznym klubie, jak gdzie indziej zresztą, tradycyjne zespoły: teatralny, muzyczny itd., itd. Nawet coś robią. Ale na uboczu pozostał duży rezerwuwar kadr dla zespołów, które zainteresowań — młodzi robotnicy, po pracy szlifujący bruki miasta, rezerwuwar, do którego można sięgnąć — tylko że trzeba, aby w kierownictwie klubu znaleźli się ludzie pokroju inżyniera Czerwińskiego.

Są przecież warunki, więcej nawet, spontaniczne próby zintegrowania tych wyizolowanych bloków „świątków”. Jest klimat przywiązania do zakładu gwarantującego stabilizację egzystencji nie tylko mieszkańcom, ale też całej okolicy. Ten klimat przywiązania potrafi zagłuszyć nawet odzywające się, sporadycznie zresztą kwasy między tymi którzy muszą codziennie tracić na dojazd do pracy dwie i więcej godzin, a „mieszkańcami” N. Deby. W Radzie Zakładowej mówiono mi, że nigdy jeszcze tak zgodnie na KSR nie przyklasnęto propozycji, niż wtedy, kiedy zgłoszono wniosek przeznaczenia 200 tys. złotych z funduszu zakładowego na elewację bloków miesz-

kalnych Osiedla. A przecież decyzje uszczuplenia funduszu zakładowego podejmowali nie tylko przedstawiciele części załogi mieszkającej w miasteczku, ale też dojeżdżający i ci ostatni stanowili zdecydowaną większość. Fakt, że zgodnie przyklasnęli, poparli, a nawet doradnie rozpatrzyli jak by tu te pieniądze najracjonalniej wydać, dowodzi powstania ciekawego patriotyzmu lokalnego, dumy z piękniejszego z roku na rok miasta, żywej przez jego mieszkańców i — co ciekawe — przez ludzi dojeżdżających z daleka do pracy w fabryce.

Zywioty proces kruszenia barier blokowych czeka więc na rozsądnych koordynatorów. To prawda, dyrektora Zakładów, kadre techniczną najbardziej interesuje postawa załogi w fabryce, przy maszynach. Sława doskonałego producenta silników motocyklowych, sława zasłużona, nie może jednak przytłumić wylanającego się problemu, że o awansie Deby, nie może decydować tylko dobra jakość produkcji. Byłby to przecież awans wąsko pojęty.

Krętymi ścieżkami kroczy więc integracja społeczności w N. Debie; wszystko w tygłu jest jeszcze pomieszane, polaryzacja się dopiero zaczyna i choć są już symptomy nowej mentalności, nowego przywiązania, stare nawyki, wyniesione ze wsi i często przeniesione na grunt współżycia blokowego „świątków” — najbardziej charakterystycznego dla Deby — nadal dają w efekcie ciekawą mozaikę.

ST. GALOS



Dr STEFAN RECZEK starszy wykładowca WSP w Rzeszowie.
Rys. JERZY SIENKIEWICZ

U budowniczych instrumentów muzycznych

Piękne brzmienie skrzypiec, wiolonczeli czy innego instrumentu zachwycą. Wyrazy uznania zwykle kieruje się pod adresem artysty, rzadko natomiast myśli się o tym, kto jest twórcą instrumentu. Tymczasem w Nowym Targu, już od pięciu lat istnieje szkoła polskich „Stradawariusów” i „Amatek”, nosząca prozaiczną nazwę Technikum Budowy Instrumentów Lutniczych. Technikum, wyłonione z Wydziału Lutniczego Liceum Technicko-Plastycznych w Zakopanem, wybrało sobie na stałą siedzibę Nowy Targ i jest jedyną tego typu placówką w Polsce.

Akustyka, elektroakustyka, elektrotechnika, instrumentoznaństwo, budowa instrumentów smyczkowych i szarpanych, teoria muzyki i sztuki — oto dziedziny, w których kształci to jedyną naszą Technikum. Rzecz jasna, że konstruktor instrumentu musi sam umieć grać. Dlatego równocześnie z nauką zawodu uczeń musi opamiętać grę na skrzypcach, altówce, wiolonczeli i kontrabasie.

Wśród wykładowców są tak znani polscy lutnicy jak Bartoszek i

Mardula, którzy w międzynarodowych konkursach zdobyli niejedną medal, m. in. złotych w Belgii, a srebrny we Włoszech.

W ubiegłym roku mury Technikum opuścili pierwsi absolwenci. Było ich dwunastu i wszyscy z miejsca zostali zatrudnieni. Jak ogromne jest zapotrzebowanie na tego rodzaju fachowców świadczy zapotrzebowanie chociażby tylko przemysłu muzycznego, który złożył szkole zamówienie na 30 absolwentów rocznie i to na kilkanaście lat naprzód.

Kto może ubiegać się o przyjęcie do tak atrakcyjnego Technikum? Wszyscy młodzi, muzycyjni ludzie, którzy ukończyli 7 klas szkoły podstawowej i nie przekroczyli 16 lat życia. Nauka trwa 5 lat, a świadectwo dojrzałości upoważnia do starania się o przyjęcie do szkół wyższych. Przy technikum jest internat, który umożliwia naukę uczniom z całej Polski. Najbliżsi otrzymują stypendia.

Ta garść informacji na pewno nieleszy muzycznych absolwentów klas siódmych, którzy szukają możliwości kształcenia się w zawodzie, łączącym zamiłowania osobiste z interesującą pracą.

M. G.

zdarzenia tygodnia

Ostatnio odbyła się w Sanoku uroczystość wmurowania aktu erekcyjnego w fundamencie setnej szkoły-pomnika Tyśiąclecia na Rzeszowszczyźnie.

Fundatorem szkoły, która zostanie oddana do użytku w 1956 r., jest załoga Sanockiej Fabryki Autobusów.

20 bm. z okazji Dni Rzeszowa w sali WDK odbył się koncert Państwowej Orkiestry Symfonicznej, którą dyrygował Tadeusz Chachaj. Z orkiestrą wystąpiła solistka Opery Warszawskiej, Krystyna Szczepańska (mezzosopran).

Na program złożyły się utwory muzyczne i arie operowe Czajka, Mendelssohna, Szellegowskiego, Glucka, Donizettiego, Saint-Saensa i Bizeta.

Zarząd Powiatowy ZMS w Mielcu zorganizował w dniach 19-23 bm. powiatowy festiwal kulturalny młodzieży. Imprezy odbyły się w Psdwi, Radomyślu Wielkim, Wadowicach Dolnych oraz w Mielcu.

W dniu 20 czerwca w sali ZDK WSK wystąpiły gościnnie zespoły artystyczne Międzyszkolnego Ośrodka Prac Pozalekcyjnych z Rzeszowa, przedstawiając tańce, pieśni i orkiestrę. Mielecka publiczność serdecznie przyjęła gości z Rzeszowa.

W ubiegłym tygodniu informowaliśmy już o imprezach jasielskich Dni Kultury Teatralnej, organizowanych przez Zarząd Powiatowy Związku Teatrów Amatorskich. Dziś odnotowujemy kolejne.

19 bm. zespół teatralny Rafinerii Nafty w Jasie wystąpił z premierą społecznego dramatu M. Domańskiego pt. „Ktoś inny” w reżyserii J. Kobaka. Po spektaklu odbyła się w gronie członków Koła Miłośników Sztuki Teatralnej dyskusja.

20 bm. odbyło się spotkanie działaczy kulturalnych Jasia i powiatu jasielskiego z przedstawicielami władz partyjnych i administracyjnych powiatu.

Tego samego dnia zespół teatralny Zw. Zaw. Kolejarzy wystąpił w szkole St. Iłowskiego pt. „Zakończona majstrówka”, a następnie z udziałem kierowników zespołów nastąpiło podsumowanie Dni Kultury Teatralnej.

W ramach imprezy pt. „Teatry robotnicze ludzimu pracy”, zorganizowanej przez Wojewódzką Komisję Związków Zawodowych 19 bm. w sali ZDK WSK w Rzeszowie scena młodzieżowa teatru Domu Kultury Huli „Stalowa Wola” wystawiła sztukę pt. „Szczeciak” Rogersa Ferdinanda.

20 bm. teatr tego samego Domu Kultury wystawił sztukę pt. „Przyjaciel nadzieje wieczorem” Jacquesa Compagneza i Yvana Noe. Na zakończenie wystąpił Teatr Słowa ZDK WSK w Rzeszowie „Meluzyna” z programem „Ja się nie boję Braci Rojek” K. I. Gałczyńskiego.

Krakowskie Wydawnictwo Literackie wydało pod redakcją R. Reinfausa i Zofii Zarnackiej II tom „Nad rzeką Ropą”, zarytutowany „Zarys kultury ludowej powiatu ropkińskiego” (nakład Powiatowego Komitetu FJN i Prezydium PRN).

Na całość składa się 18 prac etnograficznych, traktujących m. in. o budownictwie wiejskim, zdobnictwie wnetrz, zwyczajach, sztuce i literaturze. Całość bogato ilustrowana.

charakteru nabiera fakt odznaczenia Szandruka przez byłego polskiego generała Władysława Andersa krzyżem Virtuti Militari!!!

Zachodniomiejscy historycy w rodzaju b. wysokiego dygnitarza NSDAP Hansa Kocha i współpracujący z nimi emigranci ukraińscy w rodzaju starego agenta gestapo Petro Mirczuka stworzyli wokół UPA mit „ideowego” w antykomunistycznym sensie „ruchu oporu”. Wielkie zdenerwowanie w tych kołach wywołuje przypomnienie bandyckiego charakteru Ukrainkiej Powstańczej Armii, jej zainspirowania przez gestapo i rzezi, jakich kurenie UPA dopuszczają się na Polakach, Żydach, Ukraińcach. Nic więc dziwnego, że środowisko emigracji poupowskiej w NRF i jej protektorzy z Bundeswehry zareagowały bardzo nerwowo na opublikowane niedawno przez Wydawnictwo MON książki kontraadmirała Józefa Sobiesiaka „Maksa” sławnego partyzanta z Wołynia. Demaskują one bowiem bardzo obszernie zbrodnie UPA dokonywane w służbie gestapo.

Poupowaska emigracja, wyrzucona poza nawias historii żywa się dziś w jałowej nienawici do budujących nowe życie narodów. Ostatnio obserwujemy pewną aktywizację jej wysiłków, co wiąże się z nasileniem działalności odwetowej w NRF. Jednym z przejawów tego są przygotowania do mającego się tam odbyć zjazdu przedstawicieli poupowskich organizacji emigracyjnych. Demaskowanie poczynań pogrobowców Bander i Szuchewicza, wyciąganie na światło dzienne ich niedawnej przeszłości, wskazywanie inspiratorskiej roli Bundeswehry we wszystkich ich poczynaniach ma dziś szczególnie aktualne znaczenie.

Nowości wydawnicze

Niektóre tytuły wydane w maju znalazły się na kiermaszu książki w Warszawie. Były to „Pierwsze jaskółki” i dopiero teraz te tytuły i inne, wydane w poprzednich miesiącach, trafiają do księgarń.

Z polskiej literatury klasycznej ukazały się kolejne wydania „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza, IV tom „Dzienników” Stefana Żeromskiego i „Poezje” Bolesława Leśmiana.

Interesujący przegląd twórczości najmłodszego pokolenia polskich pisarzy przynosi tom „31 współczesnych opowiadań” z przedmową Anny Bukowskiej (Iskry).

Ze wspomnień prozy polskiej ukazały się: „Równieży” Waldemara Babinię (Czytelnik), „Ryby na piasku” Zofii Chądzińskiej (Czytelnik) i „Przyjadę do ciebie na pięknym koniu” Ireny Dowgielewiczowej (Wyd. Poznańskie). Wysza dawno oczekiwana powieść „Disneyland” Stanisława Dygata (PIW) oraz nowa książka podróżnicza „I znowu kusząca Kanada” Arkadego Fiedlera (Iskry).

Przyjemną lekturę rozrywkową stanowią będzie niewątpliwie powieści Stanisława Fleszarowej-Muskat „Szukając gdzie indziej” (Wyd. Morskie). Do problematyki wojennej wraca w swojej książce „Nie-żołnierze niebohaterowie” Stanisław Goszczyński.

„Dziwaczyna z wieży Babel” — to nowa powieść słaskiej pisarki, Marii Klimas-Błahutowej, która opisuje „drogę do Polski” młodej dziewczyny, córki Wehrmachowca (Czytelnik). Czytelnikom poszukującym sensacji

polecić można powieść „Podwójny rozdźwięk” Romana Łobodę (Wyd. Łódzkie), a tym, którzy lubią powieść historyczną — „Brzemie pustego morza” Tadeusza Łopalewskiego — powieść z XVII wieku (Czytelnik).

Jest również lektura dla miłośników wie romances — „Wacław z Potoka Potocki” Lucyny Sieciechowej — opowieść o autorze „Wojny chocimskiej (PIW).

Interesujący przegląd twórczości najmłodszego pokolenia polskich pisarzy przynosi tom „31 współczesnych opowiadań” z przedmową Anny Bukowskiej (Iskry).

Ze wspomnień otrzymaliśmy m. in.: „Siedem krów liustych” Marii Klimas-Błahutowej, „Dziurę w niebie” Tadeusza Konwickiego, „Życie duże i małe” Wilhelma Macha, „Opowieści mieszkańca namiotów. Powrót do Sorrento” Artura Międzyrzeckiego i trylogię o Krzysztofie Arciszewskim Michała Rusinka.

W dziale wspomnień i esejów ukazały się „Wspomnienia o Zofii Nalkowskiej” (Czytelnik) i „Żywe ognia” Antoniego Olechy — sylwetki działaczy wiejskich.

Literatura przekładowa wydana w maju przynosi po raz pierwszy książki Jamesa Baldwin’a („Dziś rano, dziś wieczór, tak przedk”) i Johna Updika („Gołębie pióra”). Ponadto z przekładów otrzymaliśmy: „Wspaniałe życie” Johna Braine’a, „Z księgi młodości” Leonida Solowiowa, „Ze wspomnień” Wiktora Szklowskiego, „Poezje” Maksyma Rylskiego i „Bagienne maliny” Sary Lindman.

Wojciech Sulewski

Przy Zeppelinstrasse w Monachium, w domu pod numerem 67 znajduje się redakcja tygodnika „Schlach Peremohy”, półoficjalnego organu „Bractwa b. żołnierzy UPA im. świętego Jerzego Zwycięzcy” i związku dawnych SS-manów z 14 SS-Infanterie Division „Galizien”. Tam i nie tylko tam, prowadzi się szczególnie zajadłą kampanię oszczerstw przeciwko ZSRR, Polsce i innym krajom demokracji ludowej, przygotowując szpiegów i dywersantów. Wychodząca licząca w NRF prasa poupowskiej emigracji ukraińskiej wciąż snuje marzenia o trzeciej wojnie światowej i z wielkim sentymentem wspomina krwawe wyuczyny faszystowskiej policji ukraińskiej, band UPA i SS-manów z dywizji „Galizien”, a zwłaszcza rzezi papełnione na ludność polską. „Nad ranem wieś wraz z murowaną szkołą stała w ogniu, tylko kościółka nie można było zdobyć, gdyż padające z jego wieży salwy kul nie pozwalały się zbliżyć. Wreszcie z Sokala przyjechał niemiecki samochód pancerny” — wspomina b. upowiec Iwan Gorall w wyznaczeniu polskiej ludności we wsi Ostrów w hrubieszowskim na wiosnę 1944 r. przez kuren Jagody-Czernika. To wspomnienie ukazało się w kwietniu br. na łamach 17-18 nr „Schlachu Peremohy” w sąsiedztwie zapisów b. SS-mana z dywizji „Galizien”.

Poupowaska emigracja w NRF, Argilii, USA, Argentynie itp. jest szczerze finansowana przez władzę Bundeswehry, która kontynuuje tu tradycje nie tylko hitlerowskie, ale jeszcze kajzerowskie. Dzięki idącym w dziesiątki tysięcy marek i regularnie wypłacanym dotacjom bundeswehrow-

skim „Schlach Peremohy” może mieć wysokie nakłady i świetną szatę graficzną. One też zapewniają wychodzącemu w Londynie miesięcznikowi „Wizwolnyj Schlach”, który redaguje „zasłużony” współpracownik gestapo G. Drabal, świetny papier i kosztowną grafikę. Z bundeswehrowskich pieniędzy „Bractwo b. żołnierzy UPA”... wypłaca stypendia określonej kategorii studentów, którzy zwłaszcza chętnie studiują na uczelniach NRF i frankistowskiej Hiszpanii.

Historia miała pewne podobieństwa. W latach 1941-42, lwowskie, a następnie pińskie gestapo przynagliło oficera ukraińskiego policji pomocniczej niejakiego Romana Szuchewicza, późniejszego komendanta głównego UPA, znanego jako „generał Taras Czupryniak”, by szybciej przeprowadził likwidację mieszkańców gett. W listopadzie 1944 r. przyjaciel Szuchewicza niejak Jędrzej Stecko „premier” stworzonego przez Abwehrę 30 czerwca 1941 r. „rządu ukraińskiego” we Lwowie zażądał przemawiając na „X Konferencji Antykomunistycznej Ligi Narodów Azji” zrzucenia bomb atomowych na ZSRR, Polskę, Czechosłowację. Konferencja odbyła się w Tajpeh na Tajwanie, a koszty tak dalekiej podróży byłych wodzów UPA i OUN (Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów) pokryła znowu Bundeswehra, gdzie też udzielono mu odpowiedniego „nastawienia”. W Tajpeh Stecko konferował z Czang Kai-szekiem, Li Syn manem, północnowietnamskimi generałami i muzułmańskimi książętami z Indonezji, walcącymi od wielu lat z centralnym rządem Republiki, od których usłyszał wiele miłych słów. Nic dziwnego! Przecież byli upowcy i SS-mani z dywizji „Galizien” służą w gwardii feudalnych rebeliantów na Celebesie, pomagają południowietnamskim generałom pacyfikować tamtejsze wsie, a

jako biali najemnicy Czombego zastąpili w Kongu niebywałemu okrucieństwem. Tak daleko zapędziłą zdradźców i wyrzutek narodu ukraińskiego nieważność do własnego narodu, połączone z cechującym ich zawsze pożądaniem pieniędzy.

W związku z piętnastą rocznicą śmierci wodza UPA „generała Tarasa Czupryniaka”, którego radzieckie wia-

W SŁUŻBIE WYWIADU BUNDESWEHRY

dze bezpieczeństwa zastrzelili pod Lwowem 5 marca 1950 r. poupowaska emigracja zorganizowała w NRF wielkie uroczystości. Wzięły w nie zachodniomiejskie kolia rewizjonistyczne i odwetowe, podkreślając tradycje „braterstwa broni”, jakie podczas II wojny światowej łączyły faszystów ukraińskich z III Rzeszą. Nad niektórymi aspektami tego zagadnienia warto się tutaj zatrzymać, tym bardziej że pojawia się na Zachodzie coraz więcej prac na ten temat. Ich wspólną cechą charakterystyczną jest to, że ukrywają one starannie ludo-bójczą treść kolaboracji ukraińskich nacjonalistów.

„Ukraińska Policja Pomocnicza” (Ukraińskie Hilfspolizei), która na okupowanych terenach Polski zorganizowali hitlerowcy już na jesieni 1939 r. stała się jednym z głównych instrumentów eksterminowania ży-

wierszy i więcej zwięzłości i lakoniczności.

Ob. H. Stanisław — Jasio: Wiersz jeszcze nie nadaje się do publikacji. Raza nas w nim niektóre określenia („Dziw i zachwycenie”, „glazurowy asfalt”, „siedliszcze”, „czteropiętrowa cegła”), mało trafne, trochę nieudolne. Utwór ma charakter niedopracowanej impresji — brak mu lirycznego klimatu i określonego, jednolitego nastroju („Jatarnia mrugająca do mnie” — i „dynamit ze złamanym krzyżem”). Nie skorzystamy.

Ob. R. L. — Przemyski: „Przemienianie” interesujące. Prosimy o nadesłanie większej ilości wierszy i informacji o sobie.